

Olgięrd Kozłowski

99/ 10900

Julian Uchwała 419

Relacja p. Olgięrd Kozłowski.

Urodziłem się 8.VII.1923 r. w Hajnówce. Ojciec mój często zmieniał pracę. Przed II wojną światową osiadł w Grodnie, gdzie ze współnikami uruchomił mydlarnię. Interes zaczął się dobrze rozwijać ponieważ na tamtych terenach brak było podobnych zakładów. Ja i brat Zdzisław byliśmy uczniami gimnazjum.

Wybuch wojny 1.IX.1939 r. pokrzyżował nam wszystkie plany. Od początku włączyliśmy się w wir walki. Chyba 5.IX. zaangażowano nas /w ramach PW/ do wyłapywania dywersantów niemieckich. Wywozili nas samochodami za miasto, wysadzali w okolicznych lasach, gdzie mieliśmy tropić tych dywersantów. Gdy Niemcy zbliżali się do Grodna, w drugiej połowie września bolszewicy uderzyli na Polskę i szybko znaleźli się w naszym mieście. Najpierw uciekł z domu młodszy o rok brat Zdzisław. Od kolegów dowiedziałem się, że brat udział w obronie Grodna, przy cmentarzu na ul. Jerozolimskiej, gdzie granatami i butelkami z benzyną zwalczał czołgi sowieckie. Następnego dnia i ja zgłosiłem się do koszar 81 p.p. w Grodnie jako ochotnik. Dostałem olbrzymi szynel, czapkę i karabin - "Lebelę" francuską, jeszcze z tamtej wojny, wysoki prawie jak ja. Przydzielono mnie do obsługi karabinu maszynowego na Górze Zamkowej, mieliśmy stamtąd ostrzał na drugą stronę Niemne. U wylotu mostu stało działo przeciwlotnicze skierowane lufą na most, tj. na przedmieście Grodna za Niemnem. Sowietci zostali zatrzymani za rzeką. Około 30 ich czołgów zostało spalonych butelkami na ulicach miasta. Widziałem niektóre wraki w centrum Grodna. Na Zamku byłem chyba trzy dni a walki toczyły się już od kilku dni gdy niespodziewanie otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia miasta i skierowanie się w kierunku Grandzicz. Niosłem karabin maszynowy razem z kolegą z gimnazjum, też ochotnikiem, Henrykiem Melinowskim. Z płaszczem przechodziliśmy przez Grodno. Wszyscy są mieliśmy kły w oczach, chcieliśmy dalej walczyć ale był rozkaz wycofanie się w kierunku Litwy. Szliśmy gromadnie w

kierunku Grandzicze, Hoża. Dowódcą był znany mi major Serafin. Koło Hoży złapano sowieckiego żołnierza. Miał karabin na sznurku, obuty był w łapcie. Byłem obecny przy przesłuchaniu. Major pytał się: -"Skąd ty jesteś?" -"A z mińskiej guberni". -"Walczyłeś przeciwko Polsce, to my cię teraz rozstrzelamy". -"A rozstrzelujecie". -"Strzelałeś do nas". "Nie strzelał. Nas wzięli do wojska, dali broń i kazali iść oswabadzać braci, to ja musiał iść". -"Powiedz nam jak się u was żyje. Po czemu u was słonina?" -"Nie widział tego." -"A masło?" -"Nie widział" -"Kielbasa?" -"Nie widział". -"To co ty jadasz?" "Kartofle, chleb". Wówczas major zwrócił się do żołnierzy: -"chłopcy dajcie mu coś do jedzenia, dajcie zapalić". Jak ten Sowiet podjadł to pyta go: - "A może ty dołączysz do nas?" "Charaszo". Ten Ruski przeszedł razem z nami, w mundurze polskim, granicę litewską. Nie wiem co się z nim później stało.

Idziemy zwartą grupą dalej. Po moście pontonowym przekroczyliśmy Niemen i zapadając się po kolana w błocie /deszcz lał bez przerwy/ dotarliśmy nocą do majątku Kodziowce. Po drodze widziałem w oddali kolumnę sowieckich czołgów. Było ich około trzydziestu. Jecheły na światłach. W majątku stacjonował jakiś major, kawalerzysta. Poszliśmy zameldować się do niego, było nas ze dwadziestu chłopaków. Meldowaliśmy, że jako ochotnicy z Grodna chcemy, żeby nas przyjął pod swoje rozkazy. Wypędził nas z komnaty krzycząc, że nie potrzebuje takich gówniarzy. Meldowaliśmy mu także, że widzieliśmy kolumnę czołgów. Odpowiedział: -"Poradzimy sobie!" Wyszliśmy na dwór. Na szczęście znalazł się kapral kawalerzysta, który przygarnął nas na nocleg do stodoły. Spaliśmy w niej do rana. Nad ranem huk i strzelanina poderwały nas na nogi. Nasza grupa błyskawicznie znalazła się na zbiorce z całym operządzeniem, co wywołało zadowolenie u kaprale. Poinformował nas, że zaatakowali nas Sowietci. Tyralerą ruszyliśmy pod jego komendą przez pole. Nagle wyjechały na nas sowieckie czołgi. Od niechybnej śmierci uratowała nas

szerzeń IOI pułku ułanów, który pod dowództwem tego majora, który nas w nocy wyrzucił z majątku, ruszył na czołgi. Czołgiści przestali nas ostrzeliwać z karabinów maszynowych, odwrócili wieżyczki i zaczęli strzelać z działek szrapnelami w grupę kawalerii. Pociski rozrywały się wokół raniąc ludzi i konie, Moment ten wykorzystaliśmy na odwrót do wsi. Po drodze chwyciliśmy rannego w nogę kawalerzystę i zanieśliśmy go do stodoły, gdzie został opatrzony i napojony. Miał niesamowite pragnienie, wypił 3 manierki wody. Zaczęli krzyczeć, że czołgi atakują, że należy je palić. Benzyna była ale nie było jej w co wlewać. Chłopcy porzabiegali się po chałupach szukać butelek na benzynę a gdy ich nie znaleźli to brali lampy naftowe. Chałupy były puste, chłopci się gdzieś pochowali. Czołgi, które jechały drogą przez wieś atakowaliśmy z domów benzyną. Była wielka radość, jak udawało nam się jakiś zapalić. Taki czołg jechał jeszcze jakiś czas ale później musiał stanąć i otworzyć klapy. Zaś dalej były nasze oddziały i wykańczali tych czołgistów. Od kawalerzysty dostałem karabinek i cały pas granatów. Wtedy poczułem się mocny. W pewnej chwili zauważyłem z stodoły zbliżający się czołg. Stengłem z boku i przez otwory maszyny oddałem serię strzałów. Błyskawicznie rzuciłem się na drugą stronę, przeskakując przez płot kolczasty. Na płocie zerwałem sobie spodnie na kolanie. Bardziej przejąłem się tym, niż czołgiem, bo co ze mnie za żołnierz w podartych spodniach? Czołg gdzieś ugrzązł za stodołą. Tymczasem koledzy krzyczą już: - "Odwrót na Augustów!". Pobiegłem za odjeżdżającymi furmankami. Na jednej z nich leżał ranny w nogę kawalerzysta, na innej położono postrzelonego kulą w brzuch majora, który w nocy nas wypędzał. Żył jeszcze ale nie wiem czy nas poznał. Mieli go wieźć do Suwałk na operację. W dalszej drodze dołączyłem się do grupy harcerzy z Białegostoku, którzy jechali samochodem firmy "Iglis". /W Grodnie byłem drużynowym zuchów/. Z harcerzami było mi wygodnie, bo nie trzeba było masze-

rować. Posuwaliśmy się po zatłoczonych drogach i po kilku dniach, trasą przez Augustów, znaleźliśmy się na granicy litewskiej. Po drodze były jeszcze jakieś potyczki z Ruskimi. W nocy przed granicą zdeliśmy broń i przeszliśmy na teren Litwy. Tam Internowali nas Litwini. Poprowadzili przez Olitę do Birstones /Birsztany/ niedaleko Kowna, nad Niemenem. W drodze wydarzył się przyjemny wypadek. Podeszedł do mnie mówiący po polsku starszy i wręczył mi dużą torbę tytoniu. Nie chciałem brać, ale on mi ją wcisnął mówiąc, że jego syn również poszedł bić się za Polskę.

W obozie było wielu znajomych z Grodna. Był również mój profesor z gimnazjum, uczył nas prac ręcznych, ppa Horbowy, w randze porucznika. Od niego dostałem nieraz lite /pieniądz litewski/ na drobne wydatki. Oficerom wypłacano żołąd. W grudniu Sowietci zajęli Litwę. Wszystkim w obozie porobili zdjęcia. Zawieźli nas samochodem do granicznej stacji Marcinkańce a stamtąd pociągiem wróciłem do Grodna. Mój profesor, wraz z innymi oficerami /około 50/, został załadowany na samochód i przez Wilno wywieziony do obozu w Kozielsku. Zginął w Katyniu. Czytałem jego nazwisko na liście publikowanej podczas okupacji niemieckiej.

Rodzice moi bardzo się ucieszyli moim przyjazdem, tym bardziej, że brata już nie było. Brat mój po naszym odwrocie wrócił do domu. Wyprowadził z miasta część oddziałów, boso, bo Sowietci byli już w Grodnie i zajęli główne urzędy. Wyprowadził je także w kierunku Litwy. Wrócił do domu i po kilku dniach z dwoma kolegami, Haberlą i Wrębickim, uciekł do Rumunii. Przy przeprawie przez Dniestr Haberlą złapali Sowietci a mój brat z Wrębickim przeszli. Po wojnie rodzice dowiedzieli się, że zginął w 1942 r. w Anglii, jako lotnik. Nie miał jeszcze 18 lat. Leży na tym samym cmentarzu co gen. Władysław Sikorski.

Po przybyciu z Litwy do Grodna zaczęłem chodzić do dziesięciolatki. W naszym mieszkaniu w dwóch pokojach zamieszkał milicjant sowie-

ki nazwiskiem Kurakow. Nędzza u nich była taka, że jego żona gotowała wodę, do tego wrzucała suchary i czarny chleb, sól brała od mojej mamy i taką papkę jedli.

Sowieci rozpoczęli terror na niespotykaną skalę. Aresztowanie, wywożenie, ludzie przepędzali bez wieści. Pamiętam aresztowanie w lutym 1940 r. Sowieci wchodzili z nasadzonymi na karabinach bagnietami o czwartej, piątej rano. Dawali dwie godziny na spakowanie rzeczy i ładowali do bydłych wagonów. Na dworcu stał taki pociąg wyładowany ludźmi i tobozami. Pełno kolegów i koleżanek wyglądających przez zakratowane okienka, ich rozpacz i nasza. Mogliśmy stać o 100 metrów od pociągu. Przed nami był kordon żołnierzy ze "sztykami", którzy nikogo nie dopuszczali bliżej. Raptem pociąg rusza, słychać śpiew, "Rota" a potem "Jeszcze Polska nie zginęła". Pojechali w głąb Rosji, na Syberię i do Kazachstanu. Z niektórymi utrzymywaliśmy łączność do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Byli to koleżanka żony Zofia Płetek i jej brat Witold /ich ojciec był zawodowym oficerem, walczył na Zachodzie/ oraz moja koleżanka, poznana na dworcu podczas wywózki - Walentyna Teodorowicz. Do dzisiaj nie wiemy, co się z nimi stało. Ich ówczesny adres: Kazachstan, Akmolinska obłast, Szortandinskij rajon, posiadłość Prigorodnyj.

W początku 40 roku zostali aresztowani także moi rodzice. W przeddzień aresztowania ktoś zaczął walić w drzwi o północy. Ojciec wyszedł na korytarz i spytał się kto tam. Krzyczeli "Atkrojj" i jeszcze mocniej walili w drzwi. Ojciec zastukał do Kurakowa, żeby on otworzył im. Ale Kurakow przekręcił klucz w swoich drzwiach i nawet nie wyszedł na korytarz. Po jakimś czasie stukanie ustało. Rano przyszła milicja sowiecka ze "sztyletami" na karabinach. Prawdopodobnie właśnie Kurakow napuścił na nas milicję. Zbrali ojca i matkę a cały dorobek ojca załadowali na samochód ciężarowy i wywieźli. Mnie z trzynastoletnią siostrą Kamilą zostawili w domu. Siostrę zbrali następnego dnia i przesłuchiwali ją na różne sposoby

przez całą noc. Ojcu zarzucali, że utrzymuje po lasach polskie partyzantki. Po trzech miesiącach aresztu /mimo naszych interwencji u prokuratora/ ojciec zrobił głodówkę, żądając wypuszczenia z więzienia mamy. To poskutkowało i oboje rodziców wypuścili. Niestety, podczas ich pobytu w więzieniu pouściliśmy z siostrą mieszkanie i wyjechaliśmy do brata matki, do Kobrynia. Po wyjściu z więzienia rodzice przyjechali do nas. Byli nie do poznania: blade, wychudzeni, chorzy. Wywozy na Syberię trwały nadal, nawet w przededniu wybuchu wojny zakładano Polekami wagony na stacji w Kobryniu i powieszono ich w głąb Rosji. Część z tych pociągów była bombardowana przez samoloty niemieckie, co dało okazję do ucieczek z transportów.

Gdy Niemcy weszli do Kobrynia /w poniedziałek 23.VI.1941 r./ wyruszyliśmy we dwóch z ojcem na piechotę do Grodna - 210 km. Mieszkanie zostaliśmy opuszczone przez Kuraka.

Nowi "przyjaciele", Niemcy zaczęli swoją okupację również od aresztowań i rozstrzeliwań. Zatrzymano jako zakładników 30 osób, z których 25 rozstrzelano. Byli to przeważnie ludzie znani w mieście: profesorowie gimnazjalni, lekarze, wraz z całymi rodzinami. Pamiętam rodzinę Wiśniewskich - matka, 5 synów i córka /ojciec przebywał wtedy gdzieś na wsi/, prof. Wiewiórski z całą rodziną /5 synów/, prof. Kochanowski, prof. Wenatowski, Białas z żoną i dwiema córkami, prof. Danko - nauczyciel języka niemieckiego, rodzina Link. Zwolniono m.in. zaś Rejowskiego.

Grodno zostało nazwane Garten a ulice otrzymały niemieckie nazwy.

Ojciec nadal prowadził mydlarnię. Ja od 42-43 r. należałem do tajnej organizacji, chodziłem na szkolenia, pomimo masowych aresztowań i wywózek młodzieży na roboty do Niemiec. Na początku IV 1944 r. uciekłem do partyzantki polskiej działającej w okolicach Sopoćkiń. Wszystko zaczęło się od tego, że zderzyła się wyspa. U kolegi z organizacji - Przybylskiego - Niemcy zrobili rewizję. Po tym fakcie ludzie z organizacji zaczęli się ukrywać. Ja będąc w Poniemuniu pod Grodnem spotkałem swego kolegę Wacława Szczygielskiego, który był na kończącym się właśnie trzydniowym urlopie z oddziału partyzanckiego.

Pokazał mi broń i powiedział, że wraca do oddziału. Wobec tego poprosiłem, żeby zabrał mnie ze sobą i udawszy się po pistolet do niejakiego Serońka przeszedłem przez most przez Niemen. Opodal mostu stała już około trzydziestuosobowa grupa, z którą udaliśmy się w kierunku Sopoćkin, do obozu. Wiedząc, że idę do partyzantki odpowiednio się ubrałem. Miałem buty z cholewami, czapkę z biało-czerwoną naszywką, lornetkę i ciepłe ubranie. Nasz oddział, komendanta "Góry" /Adama Andruszkiewicza?/ w ilości około 100 osób miał swój obóz na bagnach, niedaleko wsi Rubcowo. Spaliśmy na okrągłakach, nad głowami mieliśmy dach zrobiony z kory drzew. Obóz był bezpieczny, mogliśmy walczyć w nim dłuższy czas, były trzy linie okopów, podziemne schrony a na końcu bagna ze znanyymi nam przejściami. Chodziłem na wypadły do różnych miejscowości, paliłem mosty, słupy telefoniczne, robiliśmy napady na Niemców i folksdojczów itp. Zdarzało się, że w okresie wycofywania się Niemców przychodzili do oddziału żołnierze niemieccy - Słazacy - w pełnym umundurowaniu i z całym rynsztunkiem prosząc o przyjęcie w szeregi. Komendant przyjął około 10 takich osób. Resztę, w miarę pojawiania się, rozbrejano i puszczano w dalszą drogę w obawie przed kłopotami, które pojawiłyby się, gdyby połowę oddziału stanowili Słazacy.

Mieliśmy też spotkania z partyzantką sowiecką. Pewnego razu nasz oddział zrobił wraz z Sowietami zasadzkę na trasie do Sopoćkin. Na drodze ukazało się około 5 furmanek, na których znajdowali się okoliczni chłopcy i po dwóch Niemców na każdej z nich. Powstał wówczas konflikt między "Górami" a dowódcą sowieckim. Sowiet chciał koniecznie strzelać a "Góra" sprzeciwił się temu w trosce o życie Bogu ducha winnych chłopów. Po ostrej kłótni nieostrzelane furmanki pojechały dalej. Następnie przejeżdżał niemiecki samochód, który już dokumentnie ostrzelano, zbito wszystkich - ok. 6 - Niemców i po zaciągnięciu na pobliski most - podpalono /most spło-

dziękuję cię do Wrocławia.

transportem pod komitacją mającą do Krzyż. Potem przeprawa -
do wyjazdu z Grodna wiosną 1945 r. Po miesięcznej podróży

za to, że Niemcy go nie rozstrzelali / patrz str. 6/.

szwedzkiej zostawiając wyjątkowo dyrektora banku Rejzaka,
własnie lub rozstrzelali. W pierwszym dniu pomimo okupacji
za to co. Wtedy też ludzi zorientowali w całym Grodnie,
reparacja. Jeżeli chodzi o represje to było mnóstwo przesłona -

ze wszystkich czasu konspiracyj w Grodnie nie było. Zaczęła się
najpierw do niego kolegi - Roberta Olszowego - a potem do Grodna.

się most pomimo / przez Niemca był zaminowany/. Poszedłem na
do trzech dniach dotarłem do miejscowości Ryżki, gdzie znajdował
frontu - po jednej stronie barykady były Sowieci a po drugiej Niemcy.
barykadach zakopany w stogu siana. W tym miejscu przebiegała linia

w okolicach Baranowicz, przez trzy dni siedziałem na miejscowych
którym uciekałem pod ostrzałem na szorstkich a zbroje. Następnie
jedną przysiadł. Najpierw natknąłem się na patrol niemiecki, przed
litwy bron i każdy na własną rękę wracał do domu. Miałem podrodz

Sowieci i wzięli na jego decyzję o rozważeniu oddziału. Zakopa-
przez siebie kraczy. Ten fakt natwarzył wroga naszego komendanta do
Sowieci oddali swe niedoszłe ofiary ale nie oddali zabitych

uzbrojeniu i powzedł do Sowieci. Obyło się bez strzelaniny gdyż
dantowi "pórze", który natychmiast wziął ze sobą oddział w jednym
Dotychczas się o tym jeden z okolicznych chłopów i dał znać koman-
ten rozstrzelac /było to tuż przed ponownym wejściem Sowieci/.

dokumenty, zegarki i wszystko co tylko się dało a potem chciało
zatrzymać kilku naszych żołnierzy. Zorientowali się, że byli bron,
Kiedy indziej zdarzyło się, że Sowieci oddział partyzancki

naż wraz z smochodem/.